Nr. 14 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 16 lipca 1930 Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 24 zawiera: Edmund Wagner: Łowiectwo a lasy państwowe. — Emeres: Pogromca tygrysów. — Bolesław Ożga: Na ciągu. — Inż. Leon Ossowski: Choroby naszej zwierzyny łownej oraz sposoby ich zwalczania. — Aleksander Janta-Połczyński: Łowiectwo we Francji. — Henryk Rudzki: W sprawie gospodarki łowieckiej. — Józef Miedzyński: Dlaczego pies tarza się w padlinie. — Al. Krawiec: Wolna Trybuna, Sprawa nielegalnego handlu zwierzyną. — Ze Stowarzyszeń Myśliwskich. — Wiadomości bieżące. — Odpowiedzi Redakcji.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 25 zawiera: Feliks Popławski: Niezbędne warunki racjonalnej gospodarki łowieckiej. — Michał K. Pawlikowski: Łowiectwo przed stu laty. — Edmund Wagner: Łowiectwo a lasy państwowe. — Wacław Szabłowski: Z hodowli zwierząt futerkowych w Szwecji. — Inż. Leon Ossowski: Choroby naszej zwierzyny łownej oraz sposoby ich zwalczania. Kalm-Podoski: O Gordonach jeszcze słów kilka. — Stanisław Haleniak: Szkodnik. — St. Konarzewski: Czy żubr zginie z powierzchni ziemi? — Zawody myśliwskie w Regulaminie Międzynarodowym. — Odpowiedzi Redakcji.

ŁOWIEC POLSKI Nr. 26 zawiera: Bohdan Zieliński: O zadaniach delegata powiatowego. — Edmund Wagner: Łowiectwo a lasy państwowe. — Janusz Domaniewski: Krzyżówka. — Stanisław Leski: Do artykułu w sprawie łosia. — Br. Biedermann: Pierwsza Wielkopolska Hodowla lisów srebrnych. — Tadeusz Rodakiewicz: Psy myśliwskie i ich użyteczność. — Jan Podoski: Zawody myśliwskie w regulaminie Międzynarodowym. — Prezes Chłapowski: Konkursowe strzelania myśliwskie w Poznaniu. — Korespondencje Łowca Polskiego, W. W. G. — Odpowiedzi Redakcji.

ŁOWIEC POLSKI Nr. 27 zawiera: Adam Rzewuski: Tragiczna śmierć Juljana Ejsmonda. — Walenty Włodzimierz Garczyński: Stan obecny stosunków łowieckich w Polsce. — Leon Starkiewicz: Miot przy pustelni. — Józef Jabłonowski: W obronie jelenia w Karpatach. — Leon Starkiewicz: Instynkt czy rozum? — Inż. Leon Ossowski: Choroby naszej zwierzyny łownej oraz sposoby ich zwalczania. — List do Redakcji: O artykuł „Sprawa pilna i zasadnicza". — Al. P.: Ochrona przyrody a zwierzyna. — Korespondencja Łowca Polskiego. — Zawody strzelecko śrutowe. — Z Puszczy Białowieskiej. — Wiadomości bieżące.

TREŚĆ NUMERU 14:

Nr. 14 We Lwowie, 16 lipca 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

† Ś. p. JULJAN EJSMOND

Młody, bo zaledwie żył lat 38, odszedł od nas Juljan Ejsmond.

Bolesny, ciężki los dotknął przyjaciół Jego z pod znaku Św. Huberta.

Opuścił, kochające Go grono miłośników łowiectwa i przyrody, Ten, który wyłącznie prawie dla nich był stworzony i dla nich na ziemi tej bytował.

Po dziadku swoim ś. p. Juljanie Wieniawskim-Jordanie odziedziczył, spotęgowany do granic najwyższych, humor i pogodę słowa, a po ś. p. ojcu Franciszku Teodorze barwność, piękno i kształt.*)

Ś. p. Juljan Ejsmond, spadkobierca w prostej linji, Ezopa, wzbogacił Panteon naszych bajkopisarzy swoją wprawdzie wiekiem młodą, ale przebogatą i dojrzałą twórczością.

Mikołaj Rej, Biernat z Lublina, Paprocki, Klonowicz, Trembecki, Krasicki, Mickiewicz, Fredro, Laskowski i wielu, wielu innych bajkopisarzy mają w tragicznie zgasłym ś. p. Juljanie Ejsmondzie godnego towarzysza twórczości. Zdawałoby się, że po tych wielkich, nieśmiertelnych nazwiskach — inne już zabłysnąć nie zdoła. — A jednak! Twórczość Ejsmonda, bujna i bogata, stawia Go w równych szeregach z największymi naszymi bajkopisarzami i poetami.

Bajka, czy wiersz muszą się czytać łatwo, śpiewnie, melodyjnie. Tej maksymie godnie odpowiada każdy bez wyjątku twór Ejsmonda.

Jeżeli bajki La Fontaine'a, są w większej części naśladownictwem Ezopa, Fedra i Bidpaja — to o twórczości bajkopisarskiej ś. p. Ejsmonda tego powiedzieć nie można. Był on nawskróś samodzielnym i temat do swych bajek czerpał przeważnie z życia przyrody, ze zdarzeń łowieckich, z życia zwierząt, które sam podpatrzył, przeżył, przestudjował i w kształtne, śpiewne ujął rymy.

Choć Rousseau i Lamartine, a za nimi i nasi niektórzy krytycy twierdzą, że bajka jest nieodpowiednią lekturą dla dzieci, pogląd ten jednak nie wytrzymuje krytyki wobec bajek Ejsmonda. Alegorja Ejsmonda jest logiczna, wierna, konsekwentna, moralna i nie wywołuje uczucia kłamstwa lub przesady. Życie zwierząt jest podchwycone tak trafnie, że bezwzględnie odrzuca

*) Juljan Wieniawski-Jordan, ur. w Lublinie, w r. 1834, zmarł w r. 1912. Napisał i wydał prace następujące: Listy Jordana do pana Jana (2 t.), Charciarz, Komedja w podróży, Z boru i dworu, Przygody pana Marka i Agapita na wystawie rolniczej w Warszawie, i inne.

Franciszek Teodor Ejsmond, ur. w r. 1859 — wykonał następujące obrazy: Sielanka, Przy studni, Miłość macierzyńska, Żyd i inne.

wszelkie pozory nawet przesady. Tylko uprzywilijowany syn Muz, mógł podać ogółowi taki twór, jaką jest poezja Ejsmonda. Jako dowód niech posłuży przykład:

„Pszczoły"... Gwarno jest w głębi ula
Bowiem nie masz w nim króla.
A zaś Matka królowa
Lubi, gdy wre rozmowa. itd.

„Krokodyl"... Cieszy się apetytem
I zdrowiem wyśmienitem.
W Indjach bramińskie wioski
Kult oddają mu boski. itd.

„Puszczyk"... Jak romantyczne Muzy
Lubi pustki i gruzy.
Czas mu najmilej płynie
W samotnej rozwalinie.
Wspomnień zagasłych szuka,
Jęczy, płacze i huka. itd. itd.

Porównania, jakie ciągle spotykamy w utworach Ejsmonda nie są zimne, nieprzekonywujące. Przeciwnie. Tkwi w nich życie, radość, pogoda. Czy wiersze Ejsmonda czyta mateńka swoim latoroślom, czy czytają je dzieci same, czy czytają dorośli, dojrzali — u wszystkich wywołują one humor prawdziwy, wesele i co najważniejsze, że logika i prawda jest jasna i przejrzysta.

Cechą dominującą twórczości Ejsmonda jest umiłowanie przyrody. W pięknym wierszu „Ukojenie" sam powiada:

„Gdy mi serce tęsknota zalewa,
„Gdy mi brzydnie cały świat —
„Idę w las, gdzie słodko szumią drzewa,
„Gdzie radością dyszy każdy kwiat...

„Każdy ptak o miłowaniu śpiewa,
„Czarodziejsko szemrze leśny zdrój...
„Złote słońce gęstwiny olśniewa...
„Brzęczy w słońcu złotych muszek rój... itd. itd.

Arcydziełami poezji są: Moja pieśń poranna, Świt i mnóstwo, mnóstwo innych utworów.

Talent poetycki Ejsmonda najsilniej uwydatnia się w Jego pracach o myślistwie. W tej dziedzinie niema On rywala. Życie myśliwskie jest Jego najczarowniejszem wspomnieniem.

„Poranki wiosenne w puszczy, spędzone pod pieśnią głu-
„szca, niezapomniane wieczory w olchowych gajach na szla-
„kach ciągnących słonek, noce gwiaździste, prześnione na
„gwiaździstych rzekach poleskich, śród rozgwaru wodnego
„ptactwa, myśliwskie rozkosze upalnego lata i złotej jesieni,
„a wreszcie łowy zimowe na grubego zwierza w białych, roz-
„iskrzonych w słońcu kniejach, znaczonych tropem dzików,
„rysi i wilków — czyż to wszystko nie jest dość piękne, by
„opromienić — stając się wspomnieniem — całe ludzkie życie?

W innym znów miejscu opisując łowy w górach tak kończy:

„Wspomnienia górskich łowów są bowiem, jak góry podnio-
„słe, jak góry niespożyte i jak góry nieba sięgające."

W ostatnich czasach wygłaszał ś. p. Ejsmond odczyty w auli Radja w Warszawie. Przykuwały treścią, formą słuchacza do głośnika i żal się robiło na duszy, gdy kończył.

Wyrażenia i zwroty, jakie ś. p. Ejsmond używał w swoich utworach o myślistwie są harmonijne i piękne. Język Jego jest czysty i poprawny. Archaicznym zwrotom i wyrazom, umiał On nadać piętno nowożytności, odmładzał je, odejmując im pleśń klasyczną.

Krytycy i biografowie zapewne wkrótce zabiorą głos i dadzą nam Ejsmonda w takiem świetle, jakim On rzeczywiście był. Żal mój i serce goryczą napełnione nie dają mi więcej o Nim mówić. Dotknął nas cios, Bracia z pod sztandaru Św. Huberta! Nasz Trubadur zmusił nas, byśmy Go żegnali. Żegnając Go, powiemy to, co On nam powiedział:

„Przetrwa
„Dokąd trwać będzie świat..."

Dr Stanisław Koźmian Rejcher



ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

Po śladach legendy

(Dokończenie)

Nie zawsze jednak tak było, przeciwnie był okres, którego już nie pamiętam, gdy w dobrach huwnickich nie wolno było strzelić do jastrzębia, ani zniszczyć jego gniazdo. Spowodowany był ten zakaz tem, że bracia Tyszkowscy byli ostatnimi w Polsce myśliwymi, którzy polowali jeszcze z sokołem. Do tego celu używano unoszonych palumbariusów, a że czasem trzeba było borykać się z kilkunastoma, nim jeden się udał, dbano zawsze, by nie brakło młodych kandydatów do nauki. Rzeczy te znam tylko z opowiadań i bardzo żałuję, że nie mogłem być świadkiem ostatnich łowów z sokołem na ziemiach polskich.

Przypominam sobie w tej chwili jeszcze jedną z moich przewag łowieckich w związku z polowaniami huwnickiemi. Z początkiem lat 90-tych ub. w. jechałem od siebie z Sierakowiec w Przemyskiem, na polowanie do Łodzinki, gdzie w miejscu nazwanem „Pod Grabem" wyznaczony był punkt zborny. Minąłem już Huwniki i tartak z jego altankami, gdy w odległości kilkuset kroków od tartaku ujrzałem kruka spacerującego nad Wiarem i co chwilę zanurzającego dziób w wodzie. —

Wiadomo, jak kruk jest ostrożnym i jak rzadko uda się go podejść. Począłem więc podjeżdżać go ostrożnie i gdy nadspodziewanie zjechałem go na jakie kroków 70, strzeliłem do niego 4. numerem śrutu, a widząc, że zbarczony umyka, poprawiłem skutecznie z drugiej lufy. Ucieszony moją zdobyczą, złożyłem ją ostronie w wózku i przyjechawszy pod „Graba" nie omieszkałem pochwalić się nią przed zgromadzonymi już myśliwymi, pokazując z dumą, że kruk ten ma trzy białe lotki w prawem skrzydle. W chwili, gdy na ten szczegół zwracałem ogólną uwagę, odezwał się Pan Marszałek:

„A to, uważacie mnie, zabiłeś mojego „Kubusia" z tartaku". Skamieniałem i pragnąłem zapaść się w ziemię. Ale trudno „Kubusia" wskrzesić było niepodobieństwem i trudnością tylko wybełkotałem coś w rodzaju przeproszenia. Ale poczciwy Marszałek zlikwidował to zajście cytując znany czterowiersz:

„Zabić kruka, to nie sztuka,
„Albo sowę trafić w głowę,
„Ale sztuka całkiem świeża
„Gołą .... zatłuc jeża".

To była mowa pogrzebowa dla Kubusia, który zbarczony, chował się przez szereg lat na tartaku w Huwnikach, czyniąc stamtąd dalekie piesze wycieczki, w czasie których łowił ryby we Wiarze i plądrował chłopskie ogrody.

W roku zdaje mi się 1896 zmarł Pan Antoni Tyszkowski, a cały jego olbrzymi majątek odziedziczył po nim przybrany i adoptowany jego syn Paweł. W owym czasie był to człowiek już trzydziestokilkoletni, nieprzygotowany zupełnie na dziedzica tak znacznej fortuny i płynących z tego obowiązków.

Trawiony od lat ciężką chorobą, stał się bierny i apatyczny i skutkiem tego był łatwym łupem żydów i całej zgrai różnych wykpigroszów, którzy go najbezczelniej wykorzystywali. Pomimo tego, że sam o tem doskonale wiedział, nie miał dosyć woli i energji, by się z tych pasożytów otrząsnąć i mawiał „Ja mam raka. — Dla mnie jeszcze wystarczy".

Obcując przeważnie z ludźmi, którzy zbliżali się do niego z powziętym z góry planem wykorzystania go w jakikolwiek sposób, wyrobił sobie ujemne zdanie o ludziach wogóle i dużą do nich nieufność. Siłą przyzwyczajenia wyborców swego okręgu i swej finansowej potencji, odziedziczył ten nowy Tyszkowski po swoim ojcu i stryju również ich godności autonomiczne i przez całe swe życie był posłem do sejmu i parlamentu i prezesem Rady powiatowej dobromilskiej. Wreszcie zmarł w r. 1920-tym strawiony straszną chorobą, zapisując cały swój majątek, obejmujący kilkanaście tysięcy morgów Krakowskiej Akademji Umiejętności, przeznaczając dochody z niego na studja nad rakiem i na walkę z tą straszną chorobą.

Paweł Tyszkowski myśliwym nie był, bo na to nie pozwalał stan jego zdrowia, ani wrodzona apatja. Toteż już od śmierci Pana Antoniego, zaczęło myślistwo huwnickie chylić się do upadku, wreszcie rozleciało się zupełnie. Z karnych dawniej, a dziś zwolnionych „drabów" porobiły się całe bandy kłusownicze, resztki psów wałęsały się samopas dewastując zwierzostan w szerokim promieniu, ustały tradycyjne polowania, a miast nich polował kto chciał, gdzie i kiedy chciał.

Takim samopas włóczącym się psom huwnickim zawdzięczam jedno z najbardziej emocjonujących spotkań z grubym odyńcem, którego opisem kończę te wspomnienia. Było to 11 marca 1896 r. — mieszkałem wówczas w Sierakowcach moim majątku w przemyskiem. Wiosna się zbliżała wielkim krokiem, śnieg po polach już zginął, lecz po lasach leżał jeszcze na dużych przestrzeniach. Dnia tego około godziny 10 rano pojechałem konno bez broni do lasu celem wydania jakichś dyspozycji. Las odległy o dwa kilometry od dworu leżał na wschodnim stoku góry, był bardzo debrzysty i posiadał partje wielkich gąszczów. Był on półwyspem wysłanym przez wielki kompleks innych lasów w głąb pól, któremi otoczony był od wschodu, południa i zachodu, północną swoją stroną przytykał tylko do lasów huwnickich. Przestrzeń niewielka nieco ponad 200 morgów.

Dojechawszy do lasu zacząłem poszukiwania za gajowym Dmytrem, któremu chciałem udzielić moje polecenia.

Po dłuższem hopkaniu i jeździe wzdłuż i wpoprzek, spotkałem się wreszcie z gajowym i w chwili gdy miałem już nawracać do domu, usłyszałem daleki gon psów w moim lesie. Stanąłem nasłuchując i obydwaj z Dmytrem „pomstowaliśmy" na włóczące się psy huwnickie, które rozpędzają naszą zwierzynę. Gon się zbliżył i nagle przeszedł w zażarte ujadanie w miejscu. Nie było wątpliwości, psy atakowały dzika, którego, Bóg wie skąd, przypędziły do mojego lasu. — Byłem wściekły a bezbronny. — „Królestwo za konia", zawołał niegdyś któryś z angielskich królów, gdy wypadło mu zmykać z pobojowiska. — Królestwo za sztuciec, pomyślałem i w tej chwili wzrok mój padł na oparty o drzewo obok gajowego, jego służbowy karabin Wenzla. Był to dawny austrjacki karabin wojskowy o dużym kalibrze conajmniej 14 mm z uciętą lufą, jakie w owym czasie sprzedawał masowo Alfred Dzikowski we Lwowie po 5 guldenów jako uzbrojenie dla służby leśnej. — Karabin taki jednostrzałowy dymił i huczał jak armata a trafić można było z niego od biedy na 50 kroków w duże wrota od gumna. — Nie z taką furją czepia się tonący rzuconej mu liny, jak ja rzuciłem się na ten karabin. — „Masz naboje" wrzasnąłem, „mam dwa". „Dawaj" i już pognałem na głos psów. — Po chwili przeciąłem trop bardzo grubego dzika i psów. Miejscami trop był sposoczony, nie miałem czasu badać, czy to farba psia czy dzicza. — Darłem się przez gąszcze, zgubiłem czapkę, potem zrzuciłem kurtę i parłem co sił naprzód. Kombinowałem, że dzik zwróci się w końcu na północ ku lasom, z których przyszedł, i dążyłem co sił w tym kierunku, by go tam uprzedzić. — Dzik tymczasem kluczył jak zając w kółko po całym lesie, chwilami stawał i od-

cinał się psom, parę razy byłem tak blisko, że słyszałem jego sapanie i kłapanie, ale w gąszczach jodłowych niczego dojrzeć nie mogłem, czasem tylko błysła mi jakaś jasna łata na którymś z psów.

Ta wędrówka po lesie, w poprzek głębokich debr trwała blisko godzinę, byłem już porządnie zmęczony i postanowiłem nie gonić już za dzikiem, lecz najbliższą ścieżką dostać się na huwnicką granicę i tam oczekiwać, co los zdarzy. Rozpocząłem więc tę peregrynację, gdy nagle zorjentowałem się po głosie psów, że wbrew moim przewidywaniom dzik prze ku górze, ku czystym polom.

O tem, aby poszedł w pole, nie myślałem, przypuszczałem tylko, że dostawszy się na górę, pójdzie samym krajem lasu, równolegle do pól i że go ten kierunek doprowadzi do spotkania ze mną. — Wypiąłem się więc ku zachodniej granicy lasu, ku polom folwarku Nowosiółki i lasem, równoległą do tych pól drogą, dążyłem nie spiesząc się ku głosowi psów.

Zbliżałem się do gonu coraz bardziej; na prawo od drogi miałem wąski pasek lasu i pola, na lewo na przodzie w gąszczach psy z dzikiem, który uparcie szedł ku polom a więc za chwilę natknie się na mnie i wtedy zawróci najprawdopodobniej krajem lasu na północ, a stamtąd ja się zbliżałem. Spotkać się musimy. — Wtem, gdy dzik był, sądząc po głosie psów, niedalej jak jakie sto kroków odemnie, usłyszałem z przerażeniem psie głosy już na prawo. — A więc dzik wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu i dziczym obyczajom poszedł przecież w pole.

Pobiegłem na kraj lasu. — Cudowny stamtąd roztaczał się widok. W dół ku zachodowi spadały pola ostrym stokiem aż do Wiaru szumiącego w dole w odległości nie całego kilometra, za Wiarem na wysokiej górze czerniały jedliny Nowosiółek i Pacławia, nad niemi pasmo mgieł a nad tem wszystkiem pod niebem jakby zawieszony majestatyczny klasztor i wieże kościoła Kalwarji Pacławskiej, na prawo na dole jak na dłoni zabudowania i ogrody dworu w Huwnikach, a przedemną w odległości 300—400 kroków w czystem polu ogromny czarny dzik odcinający się trzem psom i idący wolno w dół z widocznym zamiarem przejścia Wiaru i dostania się w przeciwległe lasy.

Przepadło! pomyślałem i usiadłem na zwalonym buku pod samą ścianą lasu, patrząc co dalej dziać się będzie. Dzik tymczasem sunął coraz dalej w raz obranym kierunku. Na jego drodze, niedaleko już brzegów Wiarowych, widniała w polu mała deberka, zarośnięta krzakami, właśnie dzik mijał ją w odległości kilkudziesięciu kroków, mając ją z prawej swej strony, gdy nagle nad krzakami wykwitła chmurka dymu i zaraz po niej druga. — „Drab" jakiś wyrósł z pod ziemi przed dzikiem. Dzik zawrócił na pięcie i w tej chwili ucha mego doszedł huk dwóch strzałów. Odyniec tak niespodzianie powitany w swej wędrówce po polach dwoma strzałami, zaniechał zamiaru forsowania przejścia i zmykał jak zając z powrotem w górę, wprost w moje stęsknione objęcia.

Ukryłem się dobrze za gęstym świerczkiem rosnącym w samej ścianie lasu i widząc wszystko jak na dłoni, miałem możność podbiegnięcia w prawo lub lewo, gdyby tego zaszła potrzeba. Ale i bez tego się obeszło, bo dzik przyszedł mi na 20 kroków na prawo i jakby chciał ułatwić mi zadanie, stanął o dziesięć kroków od lasu zwrócony groźnie ku psom, które go na chwilę nie odstępowały. — Pomagaj święty Hubercie, westchnąłem i z całej siły szarpnąłem twardy cyngiel mojego koromesła. Hukło i zadymiło jak z moździerza, ale przez dym widziałem, że dzik utknął na przód i zniknął z psami w lesie.

Pobiegłem do tropu i zaraz w pierwszym skoku ujrzałem obfitą obustronną farbę. — Odyniec daleko po takiej kuli zajść nie mógł. — Wparłem się w gąszcz za tropem, nabiwszy drugim ładunkiem karabin, ale ledwie spuściłem się z przełęczy, pouczył mnie charkot psów w miejscu, że dzik już leży. — I rzeczywiście uszedłszy jakie sześćdziesiąt kroków, ujrzałem psy szarpiące martwego już dzika, leżącego na samym środku drogi, lonżującej tutaj ścianę lasu.

Ale dramat nie był jeszcze skończony, psy broniły przystępu i wcale niedwuznacznie szczerzyły do mnie zęby. — Oglądnąłem się za jakimś drążkiem, gdy rżenie konia rozległo się niedaleko i za chwilę z za załomu drogi wyłonił się Dmytro, prowadząc mego konia. — Uwiązawszy konia do buczka, urządziliśmy z Dmytrem zwycięską ofenzywę na psy, które wprawdzie odstąpiły od dzika, ale porozsiadały się w bliskości i gniewnem warczeniem zdradzały swoje nieprzychylne usposobienia. — Dopiero teraz można było oglądnąć naszą zdobycz. Był to wspaniały siwy odyniec z ogromnemi bakenbardami i daleko wystającemi szablami o szerokości przeszło trzycentymetrowej. Wyglądał groźnie jeszcze po śmierci a długie pióra jerzyły mu się na grzbiecie.

Na szczęście psy nie uszkodziły jeszcze jego szaty. Kula tkwiła w samym środku prawej łopatki a wylot kuli ział otworem wielkości pięści w lewej komorze. — Innych postrzałowych oznak nie było, choć za niemi pilnie szukaliśmy. Zajęci byliśmy oglądaniem dzika, gdy nagle psy się zerwały i pobiegły w krzaki pod trop dzika i swój własny i za chwilę usłyszeliśmy zbliżające się ludzkie kroki i łamanie w gąszczu.

Poprzedzona trzema psami, wyłoniła się z gęstwiny zbrojna postać, w której rozpoznałem znanego mi jednego z huwnickich „drabów". — Był to ten niefortunny strzelec, który mi dzika napędził a teraz szedł za tropem, w przekonaniu, że mój strzał, pochodził z broni któregoś z jego kolegów. — To też bardzo rzadką miną, konstatował teraz swoją pomyłkę. Opowiadał on, że przechodził „przypadkiem" nad Wiarem gdy usłyszał psy i ujrzał dzika sadzącego polem wprost na dół, ukrył się więc w wyżej wspomnianej deberce, z której strzelił dwukrotnie do dzika, ale na zanadto dużą odległość. — Usłyszawszy pojedyńczy strzał na górze przybiegł

w obawie o psy, by je kto nie postrzelał. Interesował się również farbą w tropie dzika, przypuszczając, że pochodzi ona od jego dwóch strzałów, ale idąc pod górę skonstatował, że dzik już z góry przyszedł z farbą. — Rzeczywiście dzik farbował trochę z pod brzucha, z rany pochodzącej od psiego zęba ale obficiej farbowały dwa psy brzydko przez dzika poturbowane.

Byłem zanadto ucieszony tym „z nieba spadłym“ mi odyńcem, którego zawdzięczałem obcym psom i kłusownikowi, by stosować przeciw niemu jakiekolwiek rygory, zagroziłem mu tylko, że w przyszłości psy będą strzelane bez miłosierdzia a ludzie ścigani ustawowo. — Z bardzo skonfundowaną miną wysłuchał tych obietnic i zaręczał, że to raz pierwszy i ostatni.

Wypatroszyliśmy dzika, psy dostały sutą „odprawę“, a „drab“ „na piwo“ i rozstaliśmy się ku ogólnemu zadowoleniu. W godzinę później uroczysty pochód kroczył przez wieś Sierakowce, drogą ku dworowi.

Na przodzie na wozie udekorowanym jedliną jechał odyniec z dobrze dla ewidencji wywieszonym łbem, ciągniony parą wołów, za wozem jak tryumfator, ja konno na prychającej i wspinającej się „Fatimie“, którą alarmował swąd dziczej posoki, w koło kupa bab, chłopów i wrzeszczących mikrusów, żądnych widoku potwora, między tem wszystkiem stado Kruczków, Burków i Łysków wsiowych, ujadających najniemożliwszemi głosami i awizujących swoich towarzyszów z zagrody do zagrody, że coś niezwykłego się dzieje.

Dużo lat minęło od tej chwili, dużo w tym czasie widziałem dzików przed sobą, ale żaden nie dał mi tej sumy wzruszeń — co ten dzik przypadkowy i niespodziewany. Szczegół każdy do dziś pamiętam i do dziś wywołuję na kliszy wspomnień tego groźnego odyńca w czystem polu, błyskającego szablami, zjeżonego jak fura siana, ciskającego się z wyprostowanym w górę ogonkiem na psy i tnącego gwizdem w prawo i lewo w paroksyzmach niemożliwej do opisania furji.

I to wszystko w czystem polu o dwadzieścia kroków odemnie. Do dziś posiadam jego szable i są mi one jedną z najcenniejszych pamiątek.

* * *

Lata minęły. Skończyła się epopeja Tyszkowskich, spowita oprzędem legendy, dziś śpią oni snem wiecznym w cieniu murów Kalwarji pacławskiej a w szerokich ich dziedzinach włodarzy dziś zgodnie z wolą z nich ostatniego Krakowska Akademja Umiejętności, ku dobru wiedzy i uldze cierpiącej ludzkości.

Minęły lata, pokładły się pokolenia do mogił, przeszła przez świat cały krwawa zawierucha waląca trony a dźwigająca zmartwych narody, zmieniły się ideały, pojęcia i zapatrywania, zmienili się ludzie, a tylko jak przed wiekami szumią niezmierne lasy na stokach Bieszczadów i tak samo u progów Trójcy i Huwnik szumi w kamiennem swem łożu Wiar stary, niosąc w dal na swej fali dźwięczną modlitwę dzwonów Kalwarji.

JAROSŁAW HUBALEK

GENERAŁ

sylwetka karpackiego dzika

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

Z wiosną zameldował się odciskami olbrzymich racic we wczoraj posadzonych ziemniakach. Gdyby był słyszał nasz Generał wszystkie piekielne klątwy, jakie zsyłał nań właściciel przeoranego poletka, byłby może pierwszy raz w życiu zląkł się naprawdę. Z uszanowaniem zdjąłem kapelusz przed jego śladami na pólku. Wymiary zadziwiające notuję je: długość i szerokość racic 10×9 cm, krok na 80 cm. I to w wolnym ruchu! A cóż dopiero w skoku? Nic dziwnego, że stał się poprostu legendarnym tworem. Jak prawdziwy generał-uzurpator panował nad całą okolicą.

Wypowiedzieliśmy mu wojnę na śmierć i życie. Od gajowego do naczelnego zarządcy domenów — wszyscy pałali żądzą zdobycia skóry i szabel tego olbrzyma. Próżne marzenia! Generał był niezmiernie ostrożny. Wychodził tylko w nocy — dopiero po zachodzie księżyca — nigdy dwa razy w to samo miejsce. Ginął na dwa trzy tygodnie, by zjawić się tam, gdzie go nikt nie czekał. Wśród nas — kolegów — szły zakłady o jego skórę. Staliśmy się podejrzliwi, nieuczynni, zawistni wobec siebie, z obawy, by każdego z nas — inny, szczęśliwszy nie ubiegł w spotkaniu z Generałem. Nasz leśny śnił o nim całe noce. Wreszcie się spotkali. Generał stał tuż, wpatrzony zielonawemi ślepiami. Mauzerek — rzecz zawodna. Odrzucił go leśny i wziął się za bary z Generałem. Objął go oburącz za olbrzymi kark i dusił — dusił — z całych sił. Ale nie jemu mierzyć się z Generałem. Potwór odepchnął go, kopnął silnie i błysnął przed oczyma białemi kłami. — Niema rady — w nogi! Ale gdzie? Na drzewo! Już stoi na płocie, już chwyta obiema rękoma za gałęzie zbawczego konaru — gdy w tem pierzcha wszystko. Straszny odyniec niknie, a mętna rzeczywistość przywodzi do opamiętania. Rozdarta w sennych zapasach z dzikiem poduszka, oberwane ze ściany rogi jelenie, które na dobitek złego — dość boleśnie zraniły w czoło i ramię Bogu ducha winną małżonkę leśnego — stanowiły trofea spotkania z Generałem.

Na jawie nie szło lepiej całemu personelowi. Z pominięciem obowiązków czyhali wszyscy na naszego bohatera. Nigdy tak wcześnie nie wychodzono do lasu, ani tak późno nie wracano. Po księżycu, siadywano całemi nocami przy ziemniakach i kukurydzy. Chytrzy Rusini za pięć koron, znosili najnowsze wieści o jego przechodach i postojach. Widziano go równocześnie w kilku miejscach, nieraz o parę kilometrów od siebie odległych. Aż przyszła reakcja i to z góry. Wysocy dygnitarze zainteresowali się niezwykłym odyńcem i łaskawie postanowili sami się z nim rozprawić. To było całe jego szczęście.

Zrobiono parę obław — Generał zaś kpił z nas widocz-

nie. To się przedzierał na oślep przez nagankę, to wychodził spokojnie poza skrzydłem, lub na gajowego, który bał go się jak ognia i nie miał odwagi strzelić. — Liczono na śnieg. Spadł późno, coś dopiero w styczniu i niebawem zniknął. Cała zima tegoroczna była raczej dżdżysta, niż śnieżna, na pohybel myśliwemu, a na korzyść zwierzynie. Ostatnie trzy zimy dały się jej we znaki — jelenie i sarny, mimo ochrony i dokarmiania padały gęsto. Obecnie ruch miały wolny, paszy w bród, karmiska stały nietknięte.

W końcu stycznia rozeszła się pogłoska, że w sąsiedniej żupie ubito ogromnego odyńca. Wszyscy nie posiadali się z żalu i zazdrości — lecz pogłoska okazała się fałszywą. Dowiódł tego Generał przeorywując pierwsze wiosenne ziemniaki tak dokładnie, że pólko musiano powtórnie obsadzić. — W obwodzie kilku kilometrów zwiedził wszystkie ziemniaki. Nie odstraszały go budy dla specjalnych nocnych stróży, kpił sobie z białej niegdyś koszuli rozpiętej na patykach, ze stracha z kapeluszem powiewającego szmatami — jednego nawet przewrócił ryjem i na nic mu porozrywał dla zabawki całą garderobę.

Wreszcie stary Jurko wymyślił genialny automat. Przy wichrze się to ruszało i biło w blachy — niby jazzband. Podobał się ten instrument Generałowi i lubił słuchać jego muzyki. Przy jej harmonijnych tonach doskonale się wybierało ziemniaki, tylko szkoda, że raz zawadził Generał nieostrożnie, wywrócił patentowany instrument i może przez nieuwagę, podeptał nogami. Rusin ręce łamał i poprzysiągł straszną zemstę. Miała się spełnić dopiero w zimie — sprawy jednak inny wzięły obrót.

Gajowy — Wrona — wynalazł jedno pólko pod lasem, na którem Generał jeszcze nie był. Osnuł swój plan działania na tej maksymie, że dzik tam wychodzi, gdzie go się nikt nie spodziewa — i u pólka siadywać począł całemi nocami. W domu miewał istne piekło. — Żona zasłyszała jakieś plotki na temat gajowego, właściciela poletka i jego córki Ołeny. — Wrona cierpliwie znosił krzyż pański w dzień — w nocy odpoczywał na pieńku u pólka. Aż wreszcie szczęście się doń uśmiechnęło.

Było to w lipcu. Cały dzień zanosiło się na burzę — pod wieczór jednak wiatr rozwiał chmury i zrobiła się piękna pogoda. Księżyc był dopiero w pierwszej kwadrze, ale gwiazdy świeciły jasno. Gajowy dobrą godzinę przesiedział na pieńku. Po przez liście biegł wzrokiem w dolinę ku srebrnej rzeczce Turji, ku białej cerkiewce w Rahowie, słyszał turkot wozu na dalekiej szosie i syrenę fabryczną w Bystrej. Myślą przenosił się w niedawną przeszłość — do Rosji. Niezmierzone sybirskie stepy, jedno morze śniegu, usiane rzadkiemi wyspami bagiennej brzozy i karłowatej sosny. Środkiem biegnie kolej daleko — bez końca — jak wszystko w Rosji. Nieskończone, jak apatja tego ludu, jak dziewicze bogactwo tego kraju...

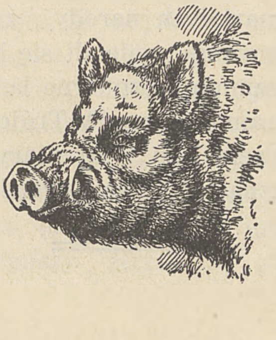
A nad tem wszystkiem nieskończone i nieśmiertelne: „Niczewo!" — Ocknął się z zadumy i patrzy. W ziemniakach cicho. Z dolin wstają opary i pełzną po polach. Na ich tle wyraźnie odrzyna się nać ziemniaczana.

Opodal gwizdnął kos — raz i drugi — potem wyraźnie słychać było furkot jego skrzydeł. Przeleciał nad samą głową myśliwego i zapadł gdzieś w krzakach. — Wrona ostrożnie spojrzał na zegarek. Z ledwością dojrzał wskazówki. Było pół do dziesiątej. Pomaleńku przełożył ścierpłe nogi i czekał dalej. Nocny wietrzyk pociągał od lasu, niosąc miłą woń leśnego kwiecia zmieszaną z zapachem butwiejącego humusu. Z tyłu, na stoku górskim, daleko chrupnęła gałązka, po niej druga. Myśliwy silniej ścisnął strzelbę nabitą grubemi lotkami.

Nie potępiaj go, miły czytelniku, że czekał na dzika ze śrutem. Łatwo się to mówi, że dla racicy jest tylko kula! Ale spróbuj sam iść w nocy na dzika. Strzelaj ze sztucera na dziesięć lub piętnaście kroków nie widząc lufy — a tembardziej muszki. Odważ się na strzał tak niepewny do zwierza, który zraniony nie zna żartów. Najlepsi myśliwi tutejsi, trafiający kulą zająca w biegu — na dzika w nocy biorą strzelbę z lufami gładkiemi i grube lotki. Tu się robi ustępstwa z prawa myśliwskiego — dla bezpieczeństwa życia. I pytam się — czytelniku — do czego potrzeba większej odwagi: do strzału małym kalibrem przez lunetę na 300 kroków do płochliwego rogacza — czy też do przypuszczenia silnego odyńca na 15 metrów i strzału bez celowania — po lufie, a najwyżej nakredowaną muszką? Niechaj myśliwy-moralista przyjdzie tu i spróbuje sam, a wtedy pierwszy zdam się na jego sąd! Zresztą — „zielone" łowy na dziki nie dają tu żadnych prawie wyników, że koszty letniej obławy przenoszą możność budżetową leśnych urzędów, z drugiej strony — szkody wyrządzane przez dziki góralom, dochodzą do takich rozmiarów, że władze cywilne nie dają chwili spokoju straży leśnej.

Po raz trzeci trzasła złamana gałązka — niedaleko. Było już słychać szmer krzewów, prutych szeroką piersią zwierza. Gajowemu dech zamarł w piersiach, serce ścisnęło się oczekiwaniem. Chwile wlokły się, jak godziny. Generał (on to był bowiem) stał opodal na samym skraju lasu i brał wiatr. O ten — gajowy się nie martwił — był wymarzony, ale lękał się, czy zwierz nie usłyszy bicia jego serca? Dobre pięć minut upłynęło, nim czarna, olbrzymia sylweta wynurzyła się z lasu. Myśliwy raczej ją wyczuł, niż dojrzał przez gęsty splot gałęzi. I wynurzyła się właśnie tam, gdzie najmniej była spodziewana. Do strzału obrócić się trzeba było o dobrych sześćdziesiąt stopni.

(Dok. nast.)

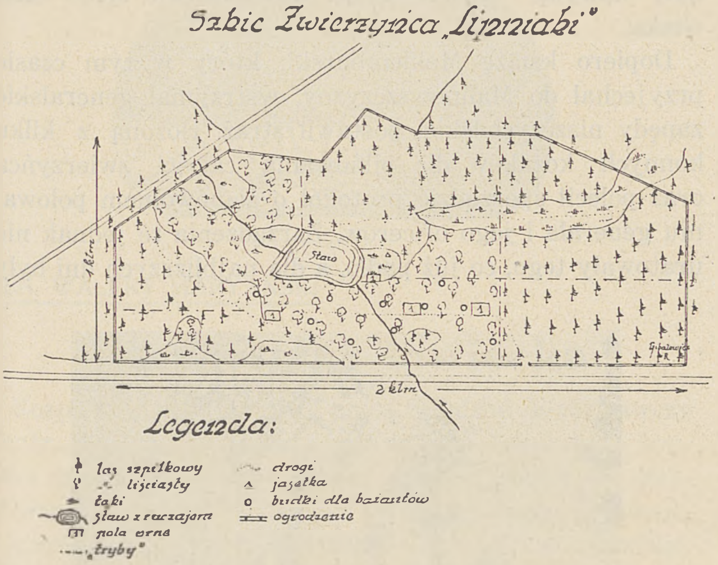


JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie

„Wspomnienie to cicha nuta
wyjęta z tonów przeszłości”.

Znany myśliwy-hodowca i ceniony autor monografji „Wilka“ i „Głuszca“ oraz licznych artykułów rozsypanych po pismach łowieckich, ziemianin kresowy p. Bolesław Świętorzecki, pragnąc skupić koło siebie szersze grono trwałych przyjaciół, którzy nigdy nie zawodzą i nie opuszczają, czy pogoda na twem czole czy chmury gorżkiej doli — założył w 1909 r. w majątku własnym Malinowszczyźnie, położonym w Województwie Wileńskiem, powiecie Mołodeczańskim, gminie Lebiedziewskiej, zwierzyniec o obszarze 200 hektarów, nazwany od uroczyska „Lipniaki“.



Pod zwierzyniec obrano teren bardzo umiejętnie, odpowiadający zupełnie swojemu zadaniu. Od wschodu i południa przylegały „Lipniaki“ do dużego kompleksu lasów, od zachodu zaś i północy graniczyły z łąkami i polami. Dwie trzecie przestrzeni zwierzyńca stanowił okazały, stuletni las iglasty, z nieznaczną przymieszką dębu; jedną trzecią zaś las liściasty: wiąz, olcha, jesion, klon, osika i brzoza. Podszycie tworzyła leszczyna, jarzębina, kalina, malina, jałowiec, łoza i t. p. Wśród drzew leśnych widniały pólka i ścieliły się — jakby piękne kobierce — zagony kwiecistych łąk, ogólnej powierzchni około pięć hektarów oraz przepiękny, sitowiem obramowany czterohektarowy staw, wysyłający wstęgę ruczaju, płynącego w zadumie przez teren zwierzyńca. Wymarzony kącik dla zwierzyny i ptactwa, pełen majestatycznej ciszy, przerywanej w cudne wieczory letnie czarującym koncertem żab dolatującym od stawu, bo przecie, jak wychwala Mickiewicz: „żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie“.

Cały zwierzyniec ogrodzono drewnianym ostrokołem o wysokości trzech metrów, opartym na dębowych słupach. Koszt tego ogrodzenia wyniósł około 25.000 zł.

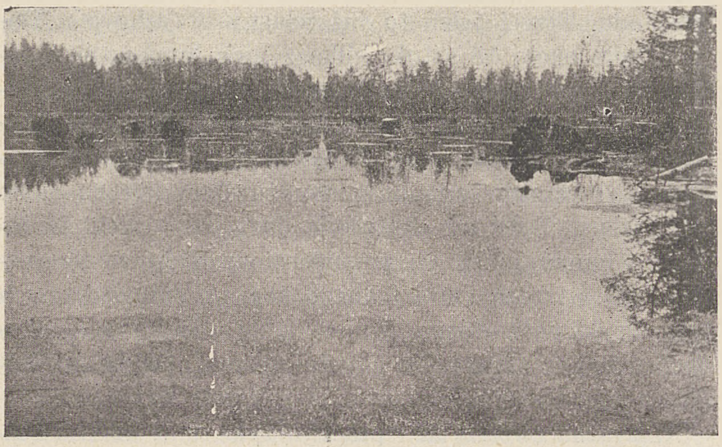
Przyjrzyjmy się teraz sympatycznym mieszkańcom tego zwierzyńca. Królowały tu trzy jelenie, z których parę otrzymał p. Świętorzecki w prezencie od p. Aleksandra Lenkiewicza z jego zwierzyńca, położonego w powiecie Mozyrskim, ziemi Mińskiej, w majątku Dąbrowa. Co się dziś dzieje z tym majątkiem polskim? Zapewne podzielił los tych wszystkich dworów polskich, na które padła czerwona łapa niszczycielskiej bestji podeptanego Wschodu. Trzeci jeleń to już własny przychowek. Danieli było około 15 sztuk, kilka z nich kupiono w Królestwie Polskiem po 30 rubli czyli 140 zł. za sztukę, reszta była z własnej rozmnoży. Około 80 sarn ożywiało wielce zwierzyniec. Zając czuł się tu także swobodnie. Bażantów odmiany mandżurskiej liczono około pół tysiąca. Były też cietrzewie, jarząbki i około 30 indyków kanadyjskich, t. zw. bronzowych, które się rozmnożyły z trzech kur i jednego koguta, sprowadzonych z Ameryki przez firmę niemiecką, za wysoką cenę, około 75 rubli za sztukę. Na stawie czerniało od dzikich kaczek, wśród których przeważały okazałe krzyżówki.

Wszystka zwierzyna i ptactwo żyło tu w dzikim stanie, mając wszelkie warunki swobodnego bytu i rozmnoży. Przestrzeń nie krępowała jej ruchów; bardzo duża wydajność gleby w zwierzyńcu dostarczała dostatecznej ilości karmy. Na specjalnych pólkach sadzono rdest sachaliński, kapustę zimową, żarnowiec, bulwę oraz na zimę ruń żytnią i rzepakową. Mimo to dbano też o systematyczne dokarmianie zwierzyny i ptaków i w tym celu ustawiono w kilku miejscach paśniki t. j. kryte drabinki dla jeleni, danieli i sarn, oraz budki z pokarmem dla bażantów. Dokarmianie to sprowadzało się rocznie do czterech wozów koniczyny, tysiąc kg owsa i ośmset kg pszenicy i jęczmienia dla bażantów.

Dobrze odżywiana zwierzyna nie chorowała nigdy i nie zauważono też u niej najmniejszych choćby odznak degeneracji. Wieńce, łopaty i parostki były silnie rozwinięte. Waga upolowanych sztuk była więcej niż zadawalająca. Wynosiła ona u dwóchletnich kozłów przeciętnie 34 kg, u sarn, koziołków sysaków we wrześniu 16—18 kg, u danieli (8 letni) 80 kg. Młody samiec indyka kanadyjskiego dochodził w drugim roku do 10 kg wagi. Wszystkie zwierzęta i ptaki wywodziły w zwierzyńcu młode.

Nad bezpieczeństwem zwierzyny czuwał nadgajowy Bilman i specjalny stały dozorca zwierzyńca i niepośledni znawca życia zwierząt — Maksym Lipowicz z płacą roczną 100 zł. Widocznie służbę pełniono sumiennie, gdyż nie było ani jednego wypadku zapędzania się kłusowników w obręb zwierzyńca. Zapędzali się natomiast rabusie świata zwierzęcego. W roku 1913 zakradł się do zwierzyńca rzadki gość: ryś i w ciągu dwóch tygodni zadusił 16 sarn oraz kilkanaście zajęcy i wiele bażantów. Tropiony energicznie wyniósł się w inne strony. Kilkanaście indyków rozszarpały lisy, które sporadycznie podkopywały się do zwierzyńca. Wśród bażantów zawsze łatwych do podejścia czyniły większe spustoszenia kuny, tchórze i jastrzębie. Ze szkodnikami

temi walczono dość skutecznie. Tchórze łowiono każdej zimy w ilości 4—6 sztuk, kuny również zimą w ilości jednej sztuki na dwa lub trzy lata. W lecie z powodu braku widocznych tropów była walka z temi szkodnikami wielce trudna. Jastrzębie chwytano w żelaza, dając na przynętę żywe gołębie w koszach. W ten sposób łowiono rocznie około 60 sztuk tych drapieżników.



1911. Staw w Lipniakach

Pieczołowita opieka, nieustająca troska o wygodę i dobro zwierzyny, sprawiły, że zwierzęta oswoiły się wysoce ze swoimi dobrodziejami, rozumiały ich ruchy, ich kroki zmierzające do paśników, podchodziły bez trwogi bardzo blisko, dając możność czynienia zdjęć fotograficznych. Nie bały się człowieka. Widziały w nim swego dobroczyńcę.

Mówią, że w raju, zanim człowiek zgrzeszył,
W najlepszej zgodzie żył ze zwierzętami,
Ich zaufaniem zupełnem się cieszył,
Niby za ojcem, szły za nim stadami.

I dziś ta przyjaźń, pierwotny dar nieba,
Łatwo odżywa i nieufność kruszy;
By ją odzyskać, mało człeku trzeba:
Prostoty w sercu i miłości w duszy.

Polowano w zwierzyńcu bardzo oględnie i racjonalnie. W listopadzie odbywało się jedno niewielkie doroczne polowanie na bażanty, na którem padało około stu kogutów. Pozostałe nadliczbowe koguty odstrzeliwano w ciągu całej zimy, tak, że roczny odstrzał bażantów dochodził do dwóch setek; daniele i sarny padały na wieczornych czatach, indyki kanadyjskie również wieczorem na zapadach, a kaczki na obfitych ciągach; jarząbków nigdy nie strzelano.

Ze sfer naukowych i artystycznych zwiedzili zwierzyniec prof. Koder z Krakowa i artysta-malarz profesor Leon Wyczółkowski, któremu właściciel zawdzięcza kilka bardzo pięknych olejnych obrazów z widokami zwierzyńca. Obrazy te — niestety — pozostają dotąd w Rosji i czekają powrotu...

Uroczy ten zwierzyniec, urządzony całkowicie przez p. Świętorzeckiego, dla którego był najmilszą atrakcją życiową, znalazł po siedmioletniem zaledwie istnieniu, swój nader smutny koniec. Rozpętała się wojna światowa. W październiku 1915 roku w ciągu jednego tygodnia wystrzelały wojska rosyjskie wszystką zwierzynę, ogrodzenie zniszczyły i spaliły, a starodrzew padł pod zębami piły. W masowem wybijaniu zwierzyny odznaczył się szczególnie generał rosyjski Czabunin i z jego też ręki padł okazały jeleń — dwunastak. Ten pan generał w pierwszym dniu swego pobytu w Malinowszczyźnie, gdy zwierzyniec był jeszcze cały, a zarządca majątku w miejsce nieobecnego p. Świętorzeckiego, odmówił mu pozwolenia na polowanie i nie wydał kluczy od zwierzyńca — uważał za odpowiednie przełazić przez ogrodzenie i strzelać do wszystkiego, co tylko nawinęło się pod lufę. A przyszło mu to tem łatwiej, że zwierzęta były nawykłe widzieć dotąd w człowieku tylko człowieka..

Dopiero książę Meklemburski, który w tym czasie przyjechał do Malinowszczyzny, wstrzymał generalskie zapędy niszczycielskie, postawił straż złożoną z kilku konnych kozaków dla pilnowania całości zwierzyńca oraz polecił sporządzić protokół o samowolnem polowaniu generała i jego oficerów. Zarządzenia te jednak nie uratowały tego, co już padło, a dla najbliższych dni były



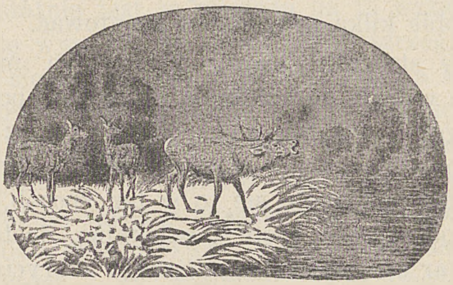
W Lipniakach. Sierpień 1913

fikcją. Codziennie niemal kwaterowały inne oddziały wojska w Malinowszczyźnie, powodując doszczętne ograbienie zwierzyńca i dworu. Zachowały się tylko, jako pamiątki, niektóre fotografje ze zwierzyńca, łopaty jednego daniela i parostki kilkudziesięciu rogaczy zwierzynieckich oraz... wspomnienia minionych jasnych dni, które już nie powrócą...

Nad uroczyskiem „Lipniaki" w przepięknej Malinowszczyźnie unosi się smętek...

Po skończonej wojnie nie odnowił właściciel ukochanego i wypieszczonego zwierzyńca. Za wielki żal nurtował w jego sercu.. A zresztą stanął także na przeszkodzie brak środków, jak również obawa przed niepomiernemi podatkami, jako od przedmiotu zbytku, za który niewątpliwie byłby uważany zwierzyniec przez sejmik i gminę.

Oto krótka historja kresowego zwierzyńca „Lipniaki" położonego w uroczym majątku Malinowszczyzny — historja zwierzyńca stworzonego pod dyktatem serca przepełnionego wielką miłością przyrody Bożej, mieszczącej w sobie balsam na zbolałe blizny duszy człowieka.



GEN. WALERY MARYAŃSKI

Nasza straż łowiecka

Rozpisany swego czasu przez Wydział Wykonawczy Centr. Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich konkurs na opracowanie popularnego podręcznika dla straży leśnej i łowieckiej, nasuwa mi na ten temat refleksje, z któremi chciałbym się z Szan. Czytelnikami podzielić.

W działach, które ów podręcznik ma obejmować, pominięto dział, mojem zdaniem bardzo ważny, a bardzo trudny do zredagowania — mianowicie przepisy ustawowe dla strażnika łowieckiego, obowiązujące przy spotkaniu z kłusownikami, proceder, który ma być przy przytrzymaniu kłusownika, względnie przy konfiskacie broni zachowany, a w końcu wytyczne, kiedy i pod jakimi warunkami, wolno strażnikowi użyć broni.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę naszych strażników łowieckich, to 95% z nich są to ludzie, których nikt nigdy nie pouczał, jakie mają prawa, ludzie, którzy żadnych szkół dla łowiectwa, ani kursów dla straży łowieckiej nie przechodzili — a to z tego powodu, że u nas w Polsce takich szkół właściwie nie ma. Jest znikoma garstka służby lasowej, która kończyła niższe szkoły leśne dla dozorców lasów — gdzie może coś na ten temat uczono; jest o ile mi wiadomo w Łukawicy przez pp. Barańskich do życia powołany rodzaj kursu łowiectwa — ale zdaje mi się, obejmuje on głównie hodowlę zwierzyny i ponoś na tem koniec.

Zresztą rekrutują się nasi strażnicy łowiectwa z wolentarjuszów, którzy prócz ochoty do tej służby — głównie celem zarobienia na kawałek chleba w braku innego zatrudnienia, żadnych wiadomości fachowych ze sobą nie przynoszą, są w dalszym ciągu samoukami (o ile ich ktoś nie poduczy), często ledwie pisać i czytać umieją, zdani głównie na t. zw. „chłopski rozum", który jest w kombinacji z uczciwością i obowiązkowością bardzo dodatnią i wartościową zaletą — ale na ogół nie wystarcza, by się w każdej sytuacji w kropce znaleźć.

Nie dziwmy się więc, czytając co chwila w gazetach, że albo „gajowy X użył broni w walce z kłusownikami i został z uwzględnieniem okoliczności łagodzących skazany za przekroczenie ustawy o samoobronie na X miesięcy więzienia, z zawieszeniem lub bez zawieszenia" — albo „napadnięty przez kłusowników, pobity lub postrzelony, zmarł w szpitalu, jako ofiara obowiązku; sprawcy nie wyśledzeni".

Nie dziwmy się, że strażnik łowiecki, czytając, lub co częściej — słysząc o „skazaniach" lub „zabójstwach, dokonanych przez niewyśledzonych sprawców", nie ma ani wielkiej ochoty, ani odwagi stawać z nimi do walki, głównie dlatego, że **nie wie, jak się ma do tego wziąć i że nie wie, co mu i kiedy wolno, a czego nie wolno.**

Ale nawet, gdyby chciał zagłębić się w dotyczące przepisy, to po bardzo krótkiem studjum będzie miał wrażenie „gołego w cierniach" — bo szczegółowych, jasno, bez kruczków prawniczych określających przepisów dla straży łowieckiej i leśnej — nie ma u nas w Polsce; to zaś co jest, to ma zawsze refrain: „nie wolno", „zabrania się", „będzie karane" i t. p.

Są ogólnikowe przepisy z czasów rządów zaborczych, określające bardzo mglisto, że we własnej obronie, wolno użyć broni, ale są to ogólne przepisy odnoszące się do wszystkich ludzi, przepisy wydane z tendencją, by użycie broni do minimum ograniczyć, a przedewszystkiem przepisy, wydane w tych „dobrych, dawnych czasach", kiedy nie było bandytów, tylko zwykli złodzieje, których się laską prało i na policję oddawało, kiedy żaden złodziej ani broni nie posiadał, ani jej nie używał, czasy więc, kiedy jakieś poważniejsze starcia ze złodziejami lub kłusownikami były rzadkością.

Jedynym wyjątkiem były kraje alpejskie, Bawarja i wogóle kraje niemieckie, gdzie naogół kłusownictwo miało swoje źródło nie tyle w chęci zysku, ile w prawdziwej żyłce myśliwskiej, tkwiącej atawistycznie w danych osobnikach — gdzie często celem wyprawy kłusowniczej było nie mięso, lecz zdobycie jakichś szczególnych rożków kozicy, rogacza lub rogów jelenich. — Ludzie tej rasy, zajadli w walce i mściwi — nie rzadko dawali się unieść temperamentowi i godzili na życie strażników polowania, bo ci im także pardonu nie dawali. Tam odgrywały się nieraz poważne dramaty.

W innych jednak krajach, np. w Małopolsce, mało się słyszało przed wojną światową o starciach na broń palną między kłusownikami a ich prześladowcami i dlatego te ogólnikowe niejasne i zagmatwane przepisy wystarczały.

Gruntownej zmianie uległa jednak sytuacja, która po wojnie światowej zaistniała.

Przedewszystkiem wojna światowa nauczyła ludzi, że życia ludzkiego tak tragicznie — jak dawniej — brać nie potrzeba. Sumienia stępiały, ustępując miejsca pewnemu zdziczeniu obyczajów. Wojna nauczyła mordować ludzi w sposób wyrafinowany. Im lepiej ktoś mordował, tem większym był bohaterem. Było to potrzebne na wojnie, ale po wojnie wydało najfatalniejsze skutki, produkując falangi bandytów.

Do tego przyczyniło się masowe posiadanie broni i amunicji wojskowej, jakiej kto i ile chciał.

Nie dziw więc, że odnośne przepisy przedwojenne, okazały się najzupełniej niewystarczające i w swojej nieskuteczności przypominały brzytwę, użytą do rąbania drzewa, zamiast tęgiego topora.

Pierwszą ofiarą powojenną tych ciężkich, nieudolnych zupełnie nie na czasie będących ustaw i przepisów, była nasza dzielna Policja Państwowa. Wszak wszyscy pamiętamy te niedawne czasy, gdzie policjantowi wolno było użyć broni dopiero wówczas, gdy jej wprzód bandyta użył i to musiał nieszczęsny policjant najpierw próbować szczęścia bronią białą! Setki dzielnych obrońców porządku i bezpieczeństwa padło dzięki temu z rąk rozmaitych Domańskich, Paniczów i t. p. bandytów — nim w końcu zmodyfikowano te samobójcze przepisy i policjanci mogli racjonalnie broni używać.

Zmieniło się od owej chwili dużo na dobre; Policja Państw. wykazuje „na rozkładzie“ wcale piękną kolekcję rozmaitych „asów“ bandyckich, ale w zwalczaniu kłusownictwa, spoczywającem głównie na barkach naszej straży łowieckiej ,,z domowem wykształceniem“ sytuacja jest nie o wiele lepsza, niż była np. w r. 1920.

Nie chcę cytować rozmaitych przykładów z gazet, bo Szan. Cz. sam je niezawodnie czytał; przejdę na sposoby, któreby stanowczo niezdrowe stosunki naprawiły.

Źródła poprawy szukać należy przedewszystkiem

a) w jasnem postawieniu stanowiska strażnika łowieckiego wobec prawa,

b) w racjonalnem wyszkoleniu strażnictwa łowieckiego.

Ad a). Przedewszystkiem konieczne jest, aby wszystkie dotychczasowe ustawy, przepisy, rozstrzygnięcia Najwyższego Sądu itp. ktoś (nb. prawnik!) zebrał i w przejrzystej formie zestawił.

Nie będzie to łatwe zadanie, choćby dlatego, że w każdej dzielnicy obowiązują dotąd dość różne prawa.

Zestawienie ich, (osobno dla każdej dzielnicy!), objaśnienie w bardzo przystępnej i na przykładach konkretnych opartej formie — byłoby jednym z najważniejszych ustępów wydać się mającego „Podręcznika“.

W dalszej konsekwencji musimy my, jako zrzeszenie myśliwych dążyć do zmiany wzgl. odpowiedniej nowelizacji — a przedewszystkiem unifikacji dotyczących ustaw przez ciało ustawodawcze t. j. Sejm.

Chwilowo jest po temu bardzo korzystna konjunktura bo ministrem rolnictwa, w którego resorze łowiectwo leży — jest p. Aleksander Janta-Połczyński — jeden z najbardziej czcigodnych przedstawicieli naszego myśliwstwa. Z jego strony należy się spodziewać, jak najżyczliwszego poparcia tej sprawy; przecież nie rozchodzi się tu ani o „sport“, ani o „pańską zabawkę“! Mocne „Prawo Łowieckie“ — chluba naszego ustawodawstwa i wzór dla całej zagranicy — stoi już dawno na stanowisku, że łowiectwo to bardzo poważna gałąź gospodarstwa krajowego!

Trzeba tylko, by któryś z naszych posłów - myśliwych myśl tę poruszył wzgl. opracowany, konkretny wniosek zgłosił.

Przechodząc do praktycznego przeprowadzenia nowelizacji dotyczących ustaw — zdaje mi się, że najlepiej byłoby wzorować się na ustawodawstwie zagranicznem, które pod tym względem najbardziej uwzględnia obecne zdziczenie obyczajów na świecie — a takiem jest niewątpliwie ustawodawstwo Rzeszy Niemieckiej.

Pozwolę sobie kilka przykładów zacytować.

I tak: gdy strażnik lasowy kłusownika mającego broń w ręku wezwie do odłożenia broni i do podniesienia rąk do góry — a ten n i e o d r z u c i w s z y broni ucieka — to wówczas ma strażnik prawo strzelić do niego. Prawnie motywuje się to w ten sposób, że kłusownik nie odrzucając broni i uciekając, dostatecznie ujawnił zamiar osiągnięcia najbliższego zakrycia (drzewa, skały, pagórka itp.), aby stamtąd strzelić do strażnika.

Inna rzecz, gdy kłusownik ma broń rozłożoną i np. w plecaku ukrytą; wtedy strzelać nie wolno.

Dalej uważa ustawa za dopuszczalne, że strażnik łowiecki, gdy ściga kłusownika ze zwierzyną uciekającego i nie ma widoków dogonienia go — może go strzałem w nogi unieruchomić i w ten sposób do aresztowania doprowadzić.

Rozumie się w ustawodawstwie niemieckiem za zupełnie naturalne, że na każdy czynny zamach na strażnika ze strony kłusownika — ten pierwszy reaguje użyciem broni.

Widzimy więc, że niemiecka ustawa wyposaża strażnika łowieckiego mniej więcej w te same prawa, jakie u nas ma policjant w służbie (tj. prawo aresztowania prawo strzelania do uciekającego zbrodniarza i prawo użycia broni, gdy zbrodniarz na wezwanie broni nie odrzuci).

Nie od rzeczy będzie przytoczyć proceder, jaki jest w użyciu w Niemczech w razie zetknięcia się strażnika łowieckiego z kłusownikiem. Przedewszystkiem trzeba zaznaczyć, że w Niemczech z reguły każdy strażnik oprócz długiej broni palnej (zwykle büchsflinty) jest uzbrojony w krótką broń palną (pistolet lub rewolwer) lub t. z. „knicker“, tj. nóż krótki, noszony z prawej strony w kieszeni na biodrze. specjalnie ze skóry wyszytej.

Gdy strażnik ujrzy kłusownika uzbrojonego, przykłada możliwie szybko broń do twarzy, stara się ukryć jak najprędzej za jakiemś drzewem itp. i przypuściwszy kłusownika tak blisko, że trafienie go ze strzelby jest

pewne — woła: „Tu strażnik łowiecki! Stać! Odrzuć broń! Ręce do góry — bo strzelam“!

Gdy po wygłoszeniu tej sakramentalnej formułki — kłusownik uczyni zadość wezwaniu — nakazuje mu strażnik: „W tył zwrot! Odejść 4 kroki od broni! Gdy i to się stało — zbliża się strażnik, (mając ciągle broń gotową do strzału i na kłusownika zwróconą) — do leżącej na ziemi broni, zabiera ją — i wygłaszając formułkę: „W imieniu prawa — jesteście aresztowani“ każe mu iść przed sobą do naczelnika gminy lub do biura policyjnego — ostrzegając, że w razie ucieczki, użyje przeciw niemu broni.

Eskortowanie odbywa się przez cały czas z bronią gotową do strzału, tak, że aresztant idzie przed strażnikiem 4 kroki.

To ostatnie jest ze względu na to wskazane, że zdarzały się wypadki, że aresztowany szczególnie w nocy, szybko się w tył zwracając, chwytał za lufę, wyrywał broń strażnikowi, aplikując zwykle kopnięcie w brzuch i o ile był zręczniejszy i silniejszy z walki, która się wywiązywała — wychodził często zwycięzcą.

W trudnej sytuacji znajdzie się strażnik, gdy zetknie się z kilku kłusownikami. Wtedy jest zasada tz. „Wer geschwinder — der gesünder“ (kto prędzej strzeli, ten zdrowszy z tej afery wyjdzie).

Dlatego jednym z głównych warunków kwalifikacji na strażnika łowieckiego w Niemczech — jest osobista odwaga. Tchórz do tej służby się nie nadaje.

Ad b). Coby się stało, gdyby naszych „domorosłych“ strażników łowiectwa wyposażono pewnego poranku w takie prawa jak np. w Niemczech?

Niezawodnie skończyłoby się na rozmaitych przekroczeniach a może nawet i zbrodniach, bo brak im w pierwszej linji odpowiedniego przygotowania do tego urzędu. Nie zapominajmy, ile kursów, egzaminów, okresu próbnej służby itp. musi przejść nasz policjant, nim zostanie definitywnym posterunkowym, uposażonym w tak wielką ale i odpowiedzialną władzę? Na ilu konkretnych przykładach uczy się on żonglować między Charybdą-bandytą i Scyllą-prokuratorem!

Widzimy więc, że do sprawnego funkcjonowania aparatu służby straży łowieckiej, oprócz odpowiednich praw i jasnych przepisów, konieczne jest f a c h o w e przygotowanie do tej służby, — a to mogą dać jedynie odpowiednio zorganizowane szkoły, kursy — a przynajmniej egzaminy, po odbyciu jakiejś praktyki pod fachowem kierownictwem.

Zdaję sobie sprawę, że praktyczne urzeczywistnienie tych wniosków nie jest łatwem i potrzebuje dużo czasu. Jeśli jednak mamy nadal kroczyć w tak pięknie wytkniętem Prawem Łowieckiem kierunku organizowania łowiectwa jako gałąź gospodarstwa krajowego — to nie obejdzie się bez zorganizowania f a c h o w e j straży łowieckiej. Im prędzej tę pracę rozpoczniemy — tem lepiej.

Św. Hubertowi! Cześć!

MIECZYSŁAW KRUSZEWSKI

Różne curiosa z „Wild u. Hund”

(O krukach i psach)

I

Według urzędowych obliczeń z r. 1925 znajdywało się w prowincji holsztyńsko-szlezwigskiej 150 obsadzonych gniazd kruków. — W r. 1928 rozpoczęto energiczną kampanję przeciw wronom przy pomocy trucizny — po której zostało tylko 6 obsadzonych gniazd.

Szlezwigsko-holsztyński komisarz dla ochrony zabytków przyrody, podaje na zebraniu towarzystwa przyrodników, że stan kruków w północnym Szlezwigu odstąpionym Danji wynosi obecnie tylko około 60 par!

Na zakończenie podaje korespondent, że nie można jednak zaprzeczyć, jakoby kruk nie był wielkim szkodnikiem drobnej zwierzyny! W tamtejszym rewirze zaobserwowano przed paroma laty, jak jeden kruk pobił kolejno 5 czy 6 świeżo urodzonych sarniąt!

W jednym z zeszytów lutego czy marca 1929 r. wyczytałem dość oryginalny anons, w którym pewien właściciel lasu w Szlezwigu ogłasza, że kupi parę młodych kruków, zdatnych do wysadzenia ich w rewirze!

Od pewnego czasu wzbronione jest importowanie niemieckich wilczurów (psów) do Australji!

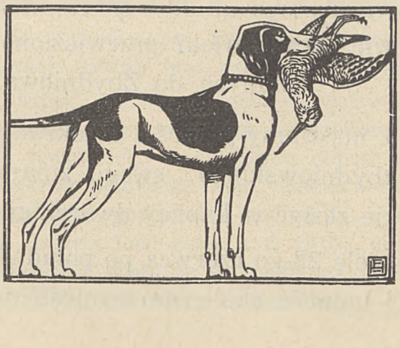
II

Niedawno przedłożono w parlamencie norweskim projekt uchwały zabraniającej trzymania wilczurów i dobermanów i mieszańców tych 2 ras, motywując tę uchwałę tem, że w przeciągu roku w Oslo zostało 83 osób przez przedstawicieli tych 2 ras niebezpiecznie pokąsanych!

Równocześnie w Niemczech towarzystwa asekur. wypłacają w 90% wszystkich odszkodowań za pokąsania, właśnie za wypadki spowodowane przez psy tych 2 ras.

Powodów tego objawu dopatruje się słusznie korespondent w pierwszym rzędzie w największem rozpowszechnieniu tych 2 ras, a w drugim rzędzie w wyspecjalizowaniu tych 2 ras przez generacje w wielkiej czujności i odwadze.

W samych Niemczech jest więcej jak 800 związków i towarzystw, zajmujących się hodowlą psów policyjnych, a ponad 2.000 (dwa tysiące!) szkół tresury tych psów.



Korespondencje

Przystań, w Maju 1930 r.

Z tegorocznych toków cietrzewi.

Gdy brzoza już pękła a las się rozwinął, skończyły się już miłosne pienia cietrzewi. — Cieciórki zasiadły na gniazdach, stare zaś koguty o gorącym temperamencie, ciągną jeszcze pojedyńczo na tokowiska, pobełkoczą chwilę, a nie widząc swych bogdanek — wracają na zasłużony spoczynek do głębi lasów.

Jak już w korespondencji z marca wspomniałem, że toki tegoroczne zapowiadały się wspaniale — i rzeczywiście przeszły najśmielsze oczekiwania, dając na rozkład ogółem 31 kogutów. — Rekord w tych łowach zdobył p. Lekczyński Stanisław, przywożąc jednego poranku 5 kogutów w tem dwa dublety — por. Ciechowski 4 koguty — por. Widorkiewicz 3 koguty — p. Andrzej Jakubowicz 3 koguty — p. Skot Jerzy 3 koguty. — Inni zaś panowie myśliwi z poranku 1—2 koguty, a byli i tacy, którym św. Hubert pozwolił się tylko przyglądać temu wspaniałemu widowisku, bez przyjścia do strzału. Między innymi Pan wiceprezes M. T. Ł. Sander z synem — przyjechawszy 11 maja, widzieli wprawdzie dwadzieścia kilka kogutów, jednakże wysoko już wyrosła trawa na łące nie pozwalała wziąć na dobry cel ukrytego w tejże tokującego koguta.

Władysław Radzikowski
delegat Żółkiewski



✝

Zbigniew Bożydar Korczak Horodyński

Sodalis Marianus, szambelan Ojca św. Leona XIII., były prezes Tow. Św. Wincentego a Paulo w Krakowie, długoletni Marszałek Rady Pow. i Tow. Rolniczego w Tarnobrzegu, długoletni wójt gminy Zbydniów, twórca Kas Stefczyka i Kółek Rolniczych w swoim powiecie, zmarł po krótkiej chorobie w dniu 19-go czerwca 1930 roku, w Krakowie, skąd zwłoki przewieziono do grobów rodzinnych do Zbydniowa.

21-go b. m., tłumy ludności oczekiwały na granicy dominium zbydniowskiego swego zmarłego ukochanego Pana, by je złożyć w kaplicy dworskiej.

W niedzielę 22-go czerwca po południu, rodzina, straż pożarna i ludność okoliczna wynieśli na zmianę zwłoki Dziedzica zbydniowskiego do o 3 kilometry oddalonego kościoła w Zaleszanach i znów nieprzeliczone rzesze odprowadzały tego, którego za życia czcili i kochali i pod którego opiekę się garnęli.

Takiej procesji nie ściągnie dziś żaden przeciętny ziemianin za swoją trumną.

W dniu 23 czerwca spoczął wedle życzenia w dębowej trumnie, obok grobowca rodzinnego, głęboko w ziemi, Marszałek Horodyński na cmentarzu w Zaleszanach. Spoczął na wieki w rodzinnej ukochanej ziemi w wolnej Polsce. — W ciemnym grobie spoczął mąż bez skazy, gorliwy katolik, dobrodziej wszystkich potrzebujących, obywatel, który nie znał różnic stanu, gdy chodziło o pomoc i radę; szczery przyjaciel, ojciec dla całej bliższej i dalszej rodziny, opiekun uciśnionych, niezmordowany pracownik, który zawsze cudze sprawy kładł na pierwszym planie, chociażby nawet ze swoją szkodą. — Spoczął w polskiej ziemi, której służył w czasie powstania, gdy Zbydniów był jedną z placówek konspiracyjnych.

Osiadłszy na rodzinnej glebie jako włodarz swoich dóbr, zyskał sobie serca wszystkich, gdyż był on zawsze czysty jak łza, kierował się przykazaniem Bożem, nieskazitelnym honorem, szlachetną duszą i złotem sercem.

Opuścił nas mąż, jakich niestety już niewielu, który dał całem swem życiem przykład i naukę, jak się dla dobra bliźnich pracuje.

Pozostała jedynie mogiła usypana setkami pracowitych rąk, które tym czynem oddały zmarłemu hołd i ostatnią usługę.

Znakomity hodowca zwierzyny, wybitny myśliwy, niezrównany towarzysz, pozostawił w sercach tych, którzy z Nim, dawno, przed laty, szczęśliwe i beztroskie chwile na łonie przyrody spędzali, serdeczny żal i nigdy nie gasnące wspomnienia.

✝

KSAWERY JARUZELSKI

członek M. T. Ł., ziemianin, poseł na Sejm

zmarł w Kaczanówce dnia 6-go lipca 1930 w 48 roku życia

Przedwcześnie zmarły, pełen zalet duszy i serca, myśliwy, zamiłowany hodowca zwierzyny, przemiły towarzysz, pozostawia po sobie w gronie kolegów i przyjaciół serdeczną pamięć. Pokój Jego duszy!

Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

SPRAWOZDANIE

z dorocznego Ogólnego Zebrania Członków Oddziału w Krakowie w dniu 23 maja 1930 r.

(Dokończenie).

W ciągu okresu sprawozdawczego udzieliliśmy żądanego poparcia w różnych sprawach łowieckich.

Począwszy od 1 lipca 1929 r., dla uproszczenia manipulacji i rozrachunków, uskuteczniamy inkaso wkładek bezpośrednio także od członków przydzielonych do Oddziału przez Centralę Tow., tak, że obecnie wszyscy członkowie M. T. Ł., zamieszkali w obrębie Województwa krak., opłacają swe wkładki do Oddziału wprost wzgl. przez P. K. O. na konto 405.265. Przypominamy, że wkładki członkowskie, w myśl uchwały Waln. Zgrom. Tow. we Lwowie z czerwca 1929 r., wynoszą kwartalnie po zł. 9 (zamiast zł. 7,50), od 1/VII 1929.

W roku sprawozdawczym przybyło 7 nowych członków. Notujemy też z prawdziwym żalem ubytek przez śmierć wieloletniego członka Tow. śp. Antoniego Skopińskiego, b. skarbnika Oddziału w Krakowie, oraz zmarłych w bież. roku wieloletnich członków i delegatów M. T. Ł. i P. Z. S. Ł. śp. Zygmunta Zawadzkiego i śp. dr. Edwarda Zielińskiego w powiecie nowosądeckim.

W interesie gospodarki łowieckiej zamieszczono z Zarządu Oddziału na łamach „Łowca" szereg artykułów, mających głównie na celu zapoznanie początkującej i młodszej braci myśliwskiej z zasadami tej gospodarki — nadto pomieszczone były w r. 1929 sprawozdania łowieckie za rok 1928 z powiatu Brzesko, Kraków i Nowy Sącz. Stanowczo za mało na 22 powiaty Województwa krak. i dlatego tem usilniej polecamy tę sprawę życzliwej uwadze i pamięci pp. Delegatów i Członków Oddziału.

Od początku roku 1930, na zarządzenie Ministerstwa, system wysyłki pocztowej „Łowca" uległ zmianie, a mianowicie adresowanie i rozsyłka egzemplarzy odbywa się przez poszczególne urzędy pocztowe na podstawie wystawianych przez Towarzystwo co kwartał kart prenumeraty dla tych urzędów. Wobec tego Oddział Tow., obok jednorazowego dołączenia do „Łowca" blankietów czekowych, przypomnienia o zaległe wkładki wysyła listownie dwa razy w kwartale, co wymaga znacznie zwiększonej pracy i wydatków na porto. Poprzedni sposób wysyłki „Łowca" w dokładnie adresowanych opaskach przy dołączaniu indywidualnie znaczonych czeków, przedstawiał obustronnie większe dogodności i sprowadzał ewentualne reklamacje członków do minimum.

Otrzymaliśmy z Magistratu m. Krakowa odpis rozporz. Min. Spr. Wewn. o zakazie urządzania strzelań popisowych do żywych gołębi i innej żywej zwierzyny, o czem także zamieszczona była notatka w „Łowcu".

Zamknięcie rachunkowe z okresu sprawozdawczego wykazuje następujące wyniki:

P r z y c h ó d: Pozostałość kasowa (jako rez. na wyrównanie udziału Centrali w wkładkach) z r. 1928 zł. 2.349,31, wpisowe zł. 14, wkładki członków zł. 6.872,32, wpłaty na odznaki zł. 12, odsetki P. K. O. zł. 22,82, zwroty za porto zł. 2, razem złotych 9.272,45.

R o z c h ó d: Udział Centrali Tow. w wkładkach i wpisowem czł. zł. 3.386,94, druki i powielania zł. 125, potrzeby biura zł. 443,98, prowadzenie i pomoc biura zł. 1.560, porto i stemple zł. 188,25, wypłaty za odznaki łow. zł. 21, prowizja P. K. O. i inkasenta zł. 134,55, spłata reszty poż. weksl. zł. 194,45, diverse zł. 99,90, pozostałość kasowa, jako rezerwa na wyrównanie udziału Centrali w wkładkach członk. zł. 3.118,38; — razem zł. 9.272,45.

Sprawozdanie kończymy apelem o pamięć w przygodnem werbowaniu nowych członków pod sztandar Małopolskiego Towarz. Łowieckiego..."

Powyższe sprawozdanie przyjęło Zebranie do wiadomości.

Po odczytaniu sprawozdania Komisji rewizyjnej z zamknięcia rachunków i przemówieniu, jej imieniem, p. Mieczysława Górki z wyrażeniem uznania za ścisłe i przejrzyste prowadzenie rachunkowości — udzielono Wydziałowi absolutorjum.

W miejsce wylosowanych 2 członków Wydz. pp. rad. Marjana Jagusińskiego i prok. Witolda Michałowskiego oraz 1 zast. członka Wydz. p. rad. Stan. Zacharyasza, wybrano przez aklamację ponownie w tymsamym charakterze pierwszych 2 członków oraz zastępcą członka Wydz. p. inż. Bolesława Szarka.

Wniosek Zarządu o przystąpienie Oddziału Tow., w charakterze stowarzyszenia związkowego, do Oddziału Ligi Ochrony Przyrody Województwa krakowskiego (w myśl § 7 ust. 2 statutu Ligi) — przyjęto. Doniosłe cele Ligi Ochrony Przyrody są powszechnie znane, zbyteczne zatem powtarzać je tutaj. Roczną wkładkę od członka groszy 30 dopisywać się będzie P. T. Członkom raz w roku na czekach Oddziału M. T. Ł.

Przy ostatnim punkcie porz. dzien. członek Wydz. p. Andrzej Chwalibóg podnosi, że obecnie na skutek zeszłorocznej ingerencji krakowskiego Oddziału M. T. Ł., przy licytacyjnej sprzedaży skonfiskowanej broni myśliwskiej, przestrzega się tem ściślej, ażeby broń taka nie dostawała się w niepowołane ręce.

Pp. prez. Stiller i deleg. Szarek podnoszą większą w ubiegłym sezonie czujność dotyczących organów miejskich przy kontroli sprzedaży zwierzyny na placach targowych, jak i na rogatkach przy wprowadzaniu zwierzyny w obręb miasta.

P. del. Szarek mówi o wypadkach, gdzie przy prolongacie dzierżawy polowań Spółki łowieckie skłonne są wydzierżawić swe polowania za opłatą niezmienionego ewent. nieznacznie wyższego czynszu, zaś niektóre czynniki w radzie powiatowej, powodują znaczne podwyższenie takich czynszów. Skutkiem tego bywa, że poprzedni dzierżawca, mimo poczynienia przezeń znacznych wkładów w zagospodarowaniu łowieckiem terenu, nie może utrzymać się nadal ze swą ofertą i musi odstąpić miejsca innemu kandydatowi chociażby mniej kwalifikowanemu a nawet polującemu na zysk i przezto zarazem na szkodę dla samego łowiectwa. — Do powyższego przedstawienia z wnioskiem o podjęcie starań w zaradzeniu temu, przyłączają się pp. arch. Kazimierz Brzeziński, prof. Jan Danek i inni. — Po dyskusji sprawę tę przekazano Wydziałowi do bliższego rozpatrzenia i załatwienia.

P. del. dr. Józef Surzycki podnosi potrzebę wprowadzenia ustawowego wymogu w zasięganiu fachowych opinij delegackich przy wydzierżawianiu polowań Spółek łowieckich, dalej potrzebę składania kaucyj dzierżawnych dla zabezpieczenia trwałości stosunku dzierżawnego i dopełnienia związanych z nim warunków a wreszcie konieczność zatwierdzania kontraktów dzierżawnych przez Starostwa. Także sama forma i sposób wydzierżawiania tych polowań wymagałaby — podobnie, jak to miało miejsce w b. ustawie łow. galic. z r. 1909/10 — bliższego ustawowego określenia. Obecna ustawa bowiem, poza samym przymusem dzierżawy (art. 20), nic w tej mierze nie postanawia.

P. Chwalibóg przypomina z naciskiem poruszoną już w zeszłym roku przez p. del. Tadeusza Łysakowskiego ważną sprawę plombowania sprzedawanej zwierzyny, którąto sprawę także przy nowelizacji ustawy łow. uwzględnić należy.

P. rad. Jagusiński zwraca uwagę na potrzebę ustawowego uregulowania sprawy przymusowego wydzierżawiania włościańskich obwodów łowieckich, otaczających dobrze gospodarowany rewir, gdy połączenie polowania wzgl. dzierżaw takich w jednym ręku — ze względów gospodarki łowieckiej, rolnej lub leśnej (§ 17 ust. 3 b. ustawy łow. galic. z r. 1910), zyskania dla niej terenów ochronnych a także ze względu na konfigurację i właściwości łączących się terenów — wskazanem i koniecznem jest

dla utrzymania należytej gospodarki na całym kompleksie takich obwodów. Również pp. Chwalibóg i del. Karol Szerauc popierają usilnie ten postulat.

Co do spraw, które łączą się z potrzebą uwzględnienia ich przy nowelizacji prawa łowieckiego, wyjaśnia p. Morawetz, że sprawy te były już omawiane na łamach „Łowca Polskiego“, a także zakomunikowane przez nas w swym czasie, razem z innemi postulatami Oddziału, Centrali M. T. Ł. we Lwowie. Między temi postulatami zamieszczony był także nader ważny punkt nadania wzgl. przywrócenia Starostwom pełnej kompetencji w rozszerzaniu czasów ochronnych dla zwierzyny i zamykania polowań na niektóre jej gatunki na obszarze całego powiatu lub tylko na zagrożonych jego częściach. Wszystkie te postulaty zakomunikowała Centrala Tow. Polskiemu Związkowi Stowarzyszeń Łowieckich, który włączył je do całości materjału zbieranego dla nowelizacji prawa łowieckiego.

P. prezes Stiller w związku z niektóremi sprawami, prosi obecnego na Zebraniu seniora delegatów krakowskich p. hr. Antoniego Kazim. Wodzickiego o okolicznościowe jeszcze poparcie tych spraw wobec Władz i Prezesa naszej Centrali a zarazem Prezesa Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich p. hr. Juljusza Bielskiego. P. del. hr. Wodzicki, uznając ważność dotyczących postulatów, oświadcza gotowość możliwej pomocy w dążeniu do ich zrealizowania.

Po zakończeniu obrad, przewodniczący zamknął posiedzenie z podziękowaniem za okazane w nich ogólne tak żywe zainteresowanie.

Kraków, dnia 23 maja 1930.

Przewodniczący i prezes Oddz. sekretarz

Józef Stiller em. gen. dyw. *Stanisław Morawetz*



Z Wielkopolskiego Związku Myśliwych

W dniach 30 czerwca i 1 lipca b. r., odbyło się na strzelnicy Bractwa Kurkowego w Szelągu pod Poznaniem, doroczne Premjowe Strzelanie Myśliwskie.

W samych strzelaniach, które dzięki sprężystej organizacji Wydziału Wykonawczego W. Z. M. odbywały się sprawnie i szybko, mieliśmy sposobność podziwiać wielu czołowych strzelców Polski. — Pierwszy dzień poświęcony był strzelaniu kulą, następny strzelaniu śrutem.

W strzelaniu do rogacza stojącego, zdobyli nagrody:

I. nagrodę; leśn. Br. Gramowski, punktów 53 — II. nagrodę, Tadeusz Jaruszewski, p. 51 — III. nagrodę, leśn. Alfons Gramowski, p. 46.

Do rogacza biegnącego: I. nagrodę, p. Łyskowski, punktów 28 — II. nagrodę p. Jaruszewski, p. 26 — III. nagrodę p. M. Mischke, p. 18.

Do jelenia biegnącego: I. nagrodę p. Łyskowski, punktów 12, II. nagrodę p. leśn. A. Gramowski, p. 10 — III. nagrodę p. J. Ciążyński, p. 9.

Do dzika biegnącego: I. nagrodę p. Jaruszewski, punktów 29, II. nagrodę p. Łyskowski, p. 28 — III. nagrodę p. leśn. Br. Gramowski, p. 27.

W nadzwyczaj trudnem strzelaniu o nagrodę kniei Wielkopolskiej, zdobył i w tym roku pierwsze miejsce zeszłoroczny zwycięzca, p. leśn. Alfons Gramowski, II. nagrodę p. Nowicki i III. nagr. p. M. Mischke.

Najciekawsze było strzelanie do rzutków o mistrzostwo Polski — konkurs trudny, bo polegający na osiągnięciu najlepszych wyników w strzelaniu do stu rzutków. Palmę zwycięstwa zdobył zeszłoroczny mistrz p. J. Kiszkurno, biorąc w nagrodę puhar wędrowny, ufundowany przez Prezesa W. Z. M., który tem samem stał się jego własnością. (Ilość punktów 96).

Wyróżnili się ponadto p. Tadeusz Barański (p. 93), p. Łyskowski (p. 93), p. v. Bieler (p. 89) i p. Schulemann (p. 85).

W strzelaniu śrutowem zdobyli nagrody:

strzelanie próbne: I. nagrodę p. Kiszkurno, II. nagr. p. Pętkowski, III. nagr. p. Łyskowski;

strzelanie otwarcia: I. nagr. p. Kiszkurno, II. nagr. p. T. Barański, III. nagr. p. Łyskowski;

strzelanie o puhar wędrowny Prezesa W. Z. M.: I. nagrodę p. Kiszkurno, II. nagr. p. T. Barański, III. nagr. p. Łyskowski;

strzelanie o nagrodę W. Z. M.: I. nagr. p. T. Barański, II. nagr. p. Łyskowski, III. nagr. p. Kiszkurno;

strzelanie o nagrodę Resursy: I. nagr. p. T. Barański, II. nagrodę p. Pętkowski, III. nagr. p. Łyskowski;

strzelanie o nagrodę Pozn. Warsz. Tow. Ubezp.: I. nagrodę p. Kiszkurno, II. nagr. p. v. Bieler, III. nagr. p. T. Barański;

strzelanie o nagrodę poddelegacji Producentów Saletry Chilijskiej: I. nagr. p. Kiszkurno, II. nagr. p. Łyskowski, III. nagr. p. Schulemann;

strzelanie o nagrodę pocieszenia: I. nagr. p. K. Raszewski, II. nagr. p. Ciążyński, III. nagr. p. Nowicki;

dublety: I. nagr. p. T. Barański, II. nagr. p. Kiszkurno, III. nagr. p. Łyskowski.

Z szczególnem uznaniem podkreślić należy nazwiska ofiarodawców, którzy cennemi nagrodami przyczynili się do uświetnienia konkursu: Zygmunt hr. Kurnatowski, Olgierd Książę Czartoryski, Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, Wielkopolska Izba Rolnicza, Poddelegacja Producentów Saletry Chilijskiej, Pozn. Warsz. Tow. Ubezp., Tadeusz Barański, Resursa, Poznański Bank Ziemian, Jaruszewski, Zakłady Amunicyjne „Pocisk“, Warszawska Spółka Myśliwska, Ignacy hr. Mielżyński, Związek Zawodowych Leśników, Gąsiorowski i Frankowski, Minke i Szulc.

Mile spędzone dni konkursów, na które z dalekich stron Polski zjechało, choć nie wielu, lecz najwybitniejszych strzelców, pozostawią wśród nich najbardziej dodatnie wrażenie.

Sport strzelecki, jeden z najpiękniejszych — pamiętajmy o tem myśliwi — jest warunkiem, a często zasadniczą podstawą wielkiej sztuki myślistwa. Im więcej dobrych strzelców wśród rzesz myśliwskich, tem rzadziej na polowaniach narażeni będziemy na obraz pokaleczeń i postrzałów, tak bardzo niezgodnych z naszem pojęciem etyki myśliwstwa.

Przy stosownem przemówieniu wręczył prezes p. ppłk. rez. Chłapowski zwycięzcom nagrody, dziękując za udział w konkursach i wyrażając nadzieję, że w roku przyszłym zgromadzi św. Hubert pod Swoim sztandarem jeszcze liczniejszą brać.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16